



**ANDRZEJ BART**  
**FABRYKA MUCHOŁAPEK**

Wydawnictwo  
**ab**  
two

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

**ANDRZEJ BART**  
FABRYKA MUCHOŁAPEK

Andrzej Bart (ur. 1952)

Powieściopisarz, autor filmów dokumentalnych. Uchodzi za jedną z najciekawszych postaci polskiej literatury. Autor słynnej powieści *Rien ne va plus* (1991), która została uhonorowana Nagrodą Kościelskich. Wydał też między innymi: *Pociąg do podróży* (1999) oraz *Don Juan raz jeszcze* (2006). Jako Paul Scarron jr napisał metafizyczno-żartobliwy kryminał *Piąty jeździec Apokalipsy* (1999).

E-mail autora: [abart@insite.pl](mailto:abart@insite.pl)

# ANDRZEJ BART

## FABRYKA MUCHOŁAPEK

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2008  
Wydanie I  
Warszawa 2008

Pociąg przemierzał noc, a w każdym razie wszystko na to wskazywało. Wagon pochodził z fabryki Société Industrielle Suisse w Neuhausen, co poświadczała mosiężna tabliczka przytwierdzona pod dźwignią ręcznego hamulca. Ściany salonki wyłożono drewnem cześćniowym, do tego kilka starannie dobranych mebli, wśród których największe wrażenie robiła długa kanapa, obita zielonym pluszem. Należałoby też wspomnieć o obrazie nad kanapą, przedstawiającym piękne góry, Alpy zapewne, bo zwrócony ku nim mężczyzna ubrany był w skórzane spodnie i jodłował ponad wszelką wątpliwość. Światło lampy sprawia, że salonka przypomina raczej dom ciepły i bezpieczny, a monotony stukot kół zdaje się trzaskiem ognia na kominku. Na wypolerowanym blacie biurka leży otwarty zeszyt w ceratowej okładce i on jeden wprowadza pewien dysonans, bo ze swoimi pozaginanymi rogami może być co najwyżej dziennikiem pokładowym maszynisty. Co w takim razie robi w salonce, która być może woziła królów, i kto wie, czy to nie tu podpisano traktat pokojowy w Compiègne?

Człowiek, który siedział przy biurku i wpatrywał się w zeszyt, od dobrej godziny nie odwrócił kartki. Za to kiedy wstał wreszcie, zrobił to tak gwałtownie, że omal nie przewrócił krzesła. Do okna ma kilka kroków, a więc jest okazja dobrze mu się przyjrzeć i stwierdzić, że w pięknym miejscu pięknym był starcem. Wysoki, o siwych włosach i niebieskich oczach – które jeśli z wiekiem zszarzały nawet, to przecież nabrały niezmiernie głębokości – byłby ozdobą Izby Lordów i kto wie, czy to nie jego, zamiast Disraelego, powinna królowa Wiktoria uczynić premierem. W salonie musiało być gorąco, bo dostojny starzec jednym szarpnięciem otworzył okno. Wiatr natychmiast rozwiał mu białe włosy, które nabrały życia i uczyniły go podobnym do pianisty Paderewskiego, skądinąd także premiera. Mężczyzna patrzył w ciemność, próbując dojrzeć cokolwiek. O tym, że była to noc, a nie najdłuższy w świecie tunel, świadczyło rozgwieżdżone niebo i księżyc jak zwykle w tych dniach sierpnia przypominający rogalik. Niezwykła mogła się wydać tylko ilość gwiazd, które akurat w tym momencie zdecydowały się spadać. Trudno jednak przypuszczać, aby czyniły to pod wrażeniem spoglądającego na nie człowieka. Pociąg pędził może nawet zbyt szybko jak na łuk, który musiał pokonać, bo przecież dało się widzieć lokomotywę, z której komina wydobywał się dym jaśniejszy od nocnego nieba, a co jakiś czas także snop iskier, które potem długą chwilę fruwały w powietrzu.



W przylegającej do gabinetu sypialni ciemno, a więc trudno wyrokować, czy leżąca tam młoda kobieta była piękna, czy tylko ładna. Na pewno nie spała, bo rzadko się sypia z otwartymi oczami. Zamknęła je, kiedy cicho otworzyły się drzwi, wtedy też wydobyła z ust głośny, regularny oddech, z odrobiną świstu przy wznoszącej się frazie. Siwy pan przyjrzał się jej z wyraźnym zadowoleniem, a potem przeniósł wzrok na drugie łóżko. Dopiero teraz widać chłopczyka, który śpi smacznie, i to bez udawania. Jakby tego było mało, światło księżyca sprawia, że dziecko wygląda jak mały aniołek z niemieckich bajek, różowe policzki, loczek na czole. Obrzydliwie *gemütlich*, można by powiedzieć, gdyby nie było tak piękne. Mężczyźni musiiał spodobać się widok śpiących, być może chciał się nawet uśmiechnąć, jednak nie wiadomo, czy tak było naprawdę, bo księżyc schował się właśnie za chmurę i już nic nie można było dojrzeć. Pewne jest jednak, że najciszej, jak mógł, zamknął za sobą drzwi.

*Po raz pierwszy w dniu urodzin nie ma przy mnie nikogo. Ta samotność mocno mnie osłabiła, bo chyba nigdy wcześniej nie odbierałem tak chętnie telefonów. Julia do zwyczajowej butelki obana dołączyła w prezencie niepamiętane przeze mnie zdjęcie, na którym mam jakieś piętnaście lat. Jakbym zupełnie nie znał tego chłopaka, o którym niby*

*wiem wszystko. Nie jestem pewien, czy i dzisiaj potrafiłbym zadbać, aby nie rozbił sobie głowy, ba, nie wiem nawet, czy umiałbym z nim rozmawiać bez ryzyka, że trafi mnie zslag. Patrząc na niego, trudno uwierzyć, że ktoś taki mógł zmarnować tyle z danego człowiekowi czasu. To wszystko bardzo mnie rozstraja i mimo dobrych intencji Julii postanawiam wykreślić ją z rodziny na najbliższe trzy miesiące.*

Celowo sięgam po zapis w dzienniku z 3 września, aby udowodnić przede wszystkim sobie samemu, że nawet w miarę obiektywny zapis potrafi ominąć sedno. Nie wiem, co mnie powstrzymało przed wspomnieniem pewnej rozmowy telefonicznej. Chyba to, że nie tyczyła urodzin i w żaden sposób nie mogłem przewidzieć jej konsekwencji. Przedtem jednak przyśnił mi się pociąg. Sen błahy, głupi nawet. Kiedy przywyłem do miarowego stukotu kół, zaraz krzyk: człowiek na torze. Potem wizg, spadające z góry walizki, tak ciężkie, że trzeba się było obudzić. Od dziecka miałem z tym problem i często śniłem jeszcze, chociaż widziano mnie już w szkole lub częściej poza nią, minęła więc chwila, zanim usłyszałem dzwonek telefonu. Pierwsza próba sięgnięcia po słuchawkę nie mogła się powieść, w drugiej przynajmniej otworzyłem oczy.

– Nie obudziłem? Mamy wspólnych znajomych. Och, mógłbym długo wyliczać. Proszę mi wierzyć, nie zajmę dużo czasu. Nie, proszę się nie obawiać, nic nie sprzedaję. Przeciwnie, przynoszę pieniądze. Przepraszam, że tak pospieszam... Za trzy godziny? Będę

akuratnie. – Takie mniej więcej gadanie, do tego cieniutki głosik. Dlaczego więc chory, z potwornym bólem głowy i świadomością, że od trzech dni nie napisałem choćby trzech zdań, zdecydowałem się go przyjąć? Czy spodobało mi się napomknienie o pieniądzach, brzmiące jak niebiańska muzyka? Jeśli się czegoś obawiałem, to nie tyle straty czasu, co banału, po którym kuracja trudna i rujnująca wątrobę. Gdybym jednak wiedział, co mnie czeka... Nie, prawdę mówiąc, nie wiem, co bym wtedy zrobił.

Było już widno, kiedy pociąg przybył tam, gdzie miał przybyć. Za dnia wyglądał gorzej, bo odarty z księżycowej poświaty okazał się składem towarowym, i to nie pierwszej czystości. Skąd więc salonka wśród nędznie wyglądających wagonów? Można, a nawet trzeba wykluczyć pomyłkę, bo kolejarze aż tak bardzo się nie mylą. Pozostawała wyższa konieczność, czyli potrzeba szybkiego przewiezienia dostojnika. Jeśli starszy pan mógł być premierem, to tym bardziej ministrem kolei, a tak wysokie stanowisko tłumaczyło wiele. Dlaczego jednak pociąg nie stanął na dworcu i nie witali go wyprężeni urzędnicy kolejowi? Nie tylko nie był to dworzec, ale nawet podrzędna stacyjka, a wiele wskazywało na fabryczną bocznice, bo wszędzie magazyny z czerwonej cegły i sterty zrolowanej bawełny, a prze-

de wszystkim las kominów, które zdawały się sięgać nieba. Jeśli więc wagony przywiozły bawełnę z egzotycznego kraju, to w salonce nie siedział minister, lecz przemysłowiec osobiście dopatrujący w świecie interesu, a teraz powracający do domu z najbliższymi, z którymi nie chciał się rozstawać. Dobrze, że maszynista znał się na rzeczy i w nocy nie żałował pary, bo z daleka nadchodziły duże kłębiaste chmury, zapewne deszczowe, a prawie każdy wie, że bawełna deszczu nie lubi. Gdzie jednak robotnicy mający wyładować cenny surowiec? Wszak wiecznie głodne brzuchy fabryk czekały na pokarm, który potem oddadzą w postaci materiałów tak pięknych, że trudno o kobietę niechęcą się nimi przyozdobić.

Jednak nie skład pociągu, nie martwa cisza, która go przywitała, miały zadziwić najbardziej. Po kilku minutach z wagonów towarowych zamiast bel bawełny zaczęli wytaczać się ludzie w liczbie zaprzeczającej prawom fizyki, a jak się wkrótce okazało, jeden wyłom w naukowym porządku był w stanie spowodować następne, i to poważniejsze. Na razie jednak kobiety i mężczyźni, biednie poubierani, ustawiali się w szeregu, a potem wzajemnie się podtrzymując, szli w stronę fabrycznych murów. Czyżby to robotnicy, których właściciel wypatrzył gdzieś za górami i przekonał sositą zapłatą, aby pracowali u niego? Jeśli tak, nie będzie miał z nich pożytku, bo nie wyglądali na silnych. Co jednak z nim samym, czyżby zmęczony położył się

dopiero nad ranem i teraz śpi mocno, nie wiedząc, że pociąg osiągnął swój cel?

Drzwi salonki otworzyły się wreszcie i stanął w nich dostojny starzec. Nie wyglądał na zaspanego, a więc nie kładł się wcale, do końca pewnie medytując o interesach, o których zwyczajni ludzie blade mają pojęcie. Tweedowa marynarka, jaśniejsze od niej spodnie, zwane bryczesami, a do nich długie do kolan buty, zdradzające wojskową młodość lub myśliwskie chęci. Na głowie kapelusz, w prawej ręce laska. Mała walizeczka trzymana w lewej dłoni wygląda z daleka na kupioną u Hermesa w Paryżu, lecz nie jest to pewne ani tym bardziej ważne. Jeśli nie zgrabnie, to na pewno dziarsko zszedł po schodkach i od razu ruszył przed siebie. Za nim wysiadła żona, którą przedtem ledwie było widać, a więc dopiero teraz można docenić jej urodę. Na pewno przepiękne włosy koloru późno spadłego kasztana, bladoróżowa karnacja i mały nos, świadczący o nadwrażliwości na zapachy. Do tego pięknie żarzące się węgliki oczu. Ubrana w skromną jedwabną suknię, na którą nałożyła cieplejszy żakiet, w niczym nie ustępowała w dostojności mężowi, bijąc go jednak na głowę młodością i wdziękiem. Dziwne tylko, że dźwigać musi dużą walizę, którą na całym świecie wrywaliby sobie bagażowi. Za rodzicami szedł chłopiec. W świetle dnia mniej już był *gemütlich*, ale ciągle sprawiał miłe wrażenie. Chcąc powiedzieć coś więcej, należałoby dostrzec w nim pewien rys

przedwczesnej dorosłości, jakże często występujący u dzieci otoczonych najlepszymi nauczycielami. Malec nie niósł walizki, choćby małej, miał za to duży plecak, podobny do tych, które skauci zabierają w najdalsze wycieczki.

Starszy pan szedł przed siebie krokiem znamionującym wrodzoną pewność siebie, zwolnił jednak, a nawet przystanął, kiedy tylko znalazł się wśród murów. Traci wtedy na zdecydowaniu, co pozwala przypuszczać, że nie jest właścicielem tego fabrycznego ogromu, który chciałoby się porównać do piramid czy czegoś równie dużego. Jego żona skorzystała z okazji i postawiła walizkę na ziemi, synek rozglądał się z podziwem, na co wskazywały otwarte usta. Zazdrościć należało miastu, które wzniosło tak potężne mury, gdyż potężna musiała być siła zarabianego tam pieniądza. O tym, że nie jest to tylko olbrzymia panorama wymalowana na płótnie, zaświadczał wiatr wzbijający w powietrze resztki bawełny i kartki z porzuconych kwitariuszy magazynowych. Choć nie było to malarstwo, i tak zwyciężyła sztuka, bo z daleka dała się słyszeć muzyka tak piękna, że nie sposób było wybrać innego kierunku niż ten, z którego dobiegała. Mężczyzna mocniej ścisnął laskę i ruchem podbródka wskazał drogę.

Nie musieli iść daleko. W murze, spoza którego wychylały się piękne drzewa, zobaczyli otwartą furtkę, oszczędni Holendrzy wzięliby ją za wejście do par-

lamentu. Przeszli przez nią i znaleźli się w ogrodzie przylegającym do wewnętrznego dziedzińca pałacu, bardzo bogatego w style – nie było chyba epoki, z której projektujący go artysta nie czerpałby ze śmiałością człowieka dobrze opłacanego. Jeśli do właściciela tej imponującej budowli należały fabryki za murem, a trudno sądzić, aby było inaczej, to trzeba zauważyć, że nie miał daleko do pracy. Na tarasie strzeżonym przez dwa kamienne lwy, z których jednemu ze starości odpadła głowa, grał kwartet smyczkowy. Dla znających się na muzyce był to Scarlatti, wszystko wskazuje na jego *II kwartet*, dla niewprawnego ucha brzmiało to tylko melodyjnie. Sądząc po wychudzeniu trzech mężczyzn i jednej kobiety, muzycy nie zarabiali dużo, jednak właściciel nie musiał być kutwą, bo odpadające gdzieś tam tynki zdradzały, że przestał być człowiekiem nadmiernie bogatym. Jeśli tak było naprawdę, to przecież dobrze o nim świadczy, że do końca potrafił zadbać o muzykę. Artyści zajęci swoją pracą ani spojrzeli na przybyszów wchodzących przez taras od strony ogrodu, ci także przeszli obojętnie, myśląc pewnie o jak najszybszym postawieniu bagaży. Tylko chłopiec zatrzymał się na chwilę przy kobiecie grającej pierwsze skrzypce, jednak przywołany skinieniem matki, pobiegł w stronę szklanych drzwi.

Duża sala, w której się znaleźli, musiała być kiedyś wspaniałym salonem z widokiem na taras, za nim ogród, a jeszcze dalej miłe oku fabryki. Teraz pełniła

rolę hallu hotelowego, z drewnianym bufetem, skórzanymi fotelami, palmą i starą maszyną do czyszczenia butów. Z prawej strony pięknych drewnianych schodów, za przeszklonymi drzwiami, musiała być jadalnia, bo dobiegał stamtąd brzęk ustawianych na stołach naczyń. Jeśli właściciel imperium zbankrutował, to i hotel w jego domu nie rokował dobrze. Jedynym gościem był wszechobecny kurz, a żółta palma od lat nie widziała wody. O obsłudze nie warto wspominać, na widok gości nawet mucha nie podniosła się do lotu. Pozostawała nadzieja, że twórca tego wszystkiego dawno już nie żył, gdyż widząc podobny upadek, z pewnością umarłby ze zgryzoty.

Podobnie ocenił sytuację dostojny starzec, który rozejrzał się niezadowolony, a kiedy długo nikt się nie pojawiał, zaczął stukać laską o kamienną posadzkę. Laska potężna, bez gumowego zakończenia, a więc hałas niemały. Żona próbuje go uspokoić, przestraszony synek zatyka sobie uszy, jednak to on ma rację, bo zaraz tupot nóg i po schodach zbiega dwóch osobników. Choć to figury podrzędne, z różnych względów należy im się uwaga. Nie tylko nie wyglądali jak boye hotelowi, ale jeszcze, trzeba to powiedzieć wprost, nie wzbudzali zaufania. Jeden był większy, drugi mniejszy, mniejszy starszy był od większego, a łączył ich rodzaj bezczelnej poufałości, ledwie maskowanej udawaną atencją. Wytłuszczone garniturki, ulizane włosy, oczy patrzące wszędzie i nigdzie. Mówiąc krótko, czuć ich



było lizolem, by nie powiedzieć, siarką. Wyższy skłonił się nisko, niczym piórko porwał walizkę kobiety i już był na schodach. Niższy i starszy, który czerni garnituru rozweselił różowym krawatem, uśmiechnął się ponuro do chłopca i razem z plecakiem posadził go sobie na ramionach. Zrobił z nim kilka kroków, zawrócił jednak i z uszanowaniem odebrał kapelusz od starszego pana. Potem palcem wskazał mu drogę na schody.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).